

Wyspa Snów
Heikki Kännö

przełożył Artur Bobotek

Mojej córce, Aino

W Sirishovsviken, gdzie przed trzema laty przybiły do brzegu białe żaglowce, osiadła na mieliźnie niewielka łódź. Leży tam już od ośmiu dni i nikt nie chce jej ukraść. Zastanawiam się, czy nie czeka na mnie, czy nie przybiła tam, żeby mnie zabrać!

Jestem gotów do drogi! Całe życie poświęciłem na przygotowanie!

AUGUST STRINDBERG, *Listy miłosne i nienawistne*, przeł. J.B. Roszkowski

Udając się w podróż z Petersburga, powiedziałem, że będę szukał nadprzyrodzonego. Bardzo trudno jest zdefiniować nadprzyrodzone. Dla mnie jednak to słowo miało całkiem określone znaczenie. Już dawno temu doszedłem do wniosku, że jedyna możliwa ucieczka z labiryntu sprzeczności, w którym żyjemy, musi prowadzić całkowicie nową drogą. Niepodobną do niczego dotychczas nam znanego lub przez nas stosowanego. Ale gdzie ta nowa lub zapomniana droga miałaby swój początek, tego nie byłem w stanie powiedzieć.

P. D. USPIENSKI, *Fragmety nieznanego nauczania*, przeł. M. Złotowska (przekład zmodyfikowany)

Uwertura

IZBA HUNDINGA

Zbudowany z bali i głazów dom znajduje się u podnóża skalistego urwiska, w środku sosnowego starodrzewu, u samego nieba. Podwórze wykarczowane pod pastwisko mocno pachnie gnojem. W kominku trzaskają grube sosnowe gałęzie, porywisty wicher wciska się w kąty.

Z zewnątrz dociera odgłos szybkich kroków, a potem łoskot – jakby ktoś, przebiegłszy przez podwórze, potknął się o stopień i wyłamał deski w balustradzie – i niemal natychmiast po tym rumorze drzwi się otwierają i chyboczą w zawiasach. Potężny podmuch zimnego wiatru włacza do wnętrza odłamane od drzew gałęzie, a razem z nimi do izby wpada z impetem olbrzymi mężczyzna, rygluje za sobą źle spasowane drzwi, slaniając się, mija rosnący pośrodku izby wielki jesion, dopada do paleniska, klęka, by ogrzać się w jego ciepłe, zamiera na chwilę bez sił, po czym układa się na rozłożonej przy ogniu niedźwiedziej skórze. Unosi jeszcze kudłatą głowę ze zmierzwioną brodą i śpiewa:

Czykolwiek ten dom,
Tu spocząć muszę!

Piękny tenor mężczyzny budzi kobietę, ta wpada do izby i wtedy między obojgiem, zanim jeszcze zdążą spojrzeć na siebie, rodzi się płomień bliskości.

Rozmawiają słumionym głosem, są tak blisko siebie, że szepczą sobie nawzajem słowa do ust. Kobieta mówi, że ma na imię Zyglinda. Mężczyzna swoje imię zataja, twierdząc, że sam nie wie, jak winno się go nazywać. Nie zgadza się na imię Friedmund, Spokojny, ale przystaje na miano Friedlosa, Niespokojnego, co zarazem oznacza wykluczonego ze społeczeństwa banitę, którego zgodnie z germańskim prawem może zabić, kto tylko zechce. Takiemu znaczeniu mężczyzna nie przeczy, za to kręci głową na imię Frohwalt, Radosny, które niestety – jak mówi – nie pasuje do niego w ogóle, musi więc nazwać się Wehwalt, Smętny. „Niech to będzie me imię”, szepcze, „z braku lepszego”.

– Mój ojciec nosił imię Wolfe. Więcej miał w sobie z wilka niżli z człowieka. Matkę i siostrę straciłem podczas napadu bandy zbrojów, którzy i dom mój obrócili w perzynę. Dorastałem pośród lasów pod opieką ojca i wrogowie znają mnie jako Wölfinga, Wilcze Szczenię.

Ledwo ten, co pogodził się z imieniem Wehwalt, wypowiada te słowa, na dworze rozlega się rzenie konia, buty podbite żelazem dudnią na schodach i do środka wkracza Hunding. Jest rośłym mężczyzną o wielkim brzuchu, ramionach grubości uda i niedźwiedzich łapskach zdolnych zmiażdżyć czaszkę. Jego spojrzenie pada natychmiast na pokrwawionego wojownika i na Zyglindę; odrzuca wtedy wszystko, co niósł, i chwyta za rękojeść miecza.

Następują mętne wyjaśnienia, podczas których nieznajomy zapewnia, że nie ma broni i że pod dachem Hundinga szukał jedynie schronienia, przybył w pokojowych zamiarach i w dobrej wierze. Hunding łagodnieje i udziela mu gościny. W trakcie rozmowy okazuje się jednak, że nieznajomy jest właśnie tym, za którym Hunding, opłacony najemnik, został wysłany w pościg, a wtedy czas schronienia kurczy się do tej jednej nocy i Hunding, bas, śpiewa:

Do walki staw mi się jutro! – za dnia,
Słyszysz mnie: – pomnij com rzekł!

Hunding znika w swoim pokoju, a Zyglinda szepcze:

– Podam mu wieczerzę i dodam do niej takiej mikstury, że aż do rana będziemy mieć spokój od tych awantur.

Krząta się przez chwilę nad kuchnią, po czym z pełną tacą w rękach śpiesznie podąża za Hundingiem. Wróciwszy, wyslizguje się z bawełnianej sukni. Blask płomieni tańczy na miękkiej skórce. Wehwałt przełyka ślinę i luzuje rzemienie swojej szaty.

Zyglinda kreśli palcem runy na unoszonej spokojnym oddechem piersi Wehwałta i opowiada:

– Gdy sprowadzili mnie do tego domu, odbyło się huczne wesele, na którym nie brakowało gości, wina i dziczyzny. Siedziałam pośrodku, przyozdobiona kwiatami, ale to Hunding był bohaterem, a ja tylko rekwizytem; wśród biesiadników nie znałam nikogo. Hunding mi się nie oświadczył. Nie prosił mego ojca ani brata o moją rękę, nie całował mnie w świetle księżyca ani nie wymknął się ze mną na strych, tylko za nędzne grosze najął zbójów, którzy zrównali z ziemią mój dom i rozdzielili mnie z rodziną. To właśnie świętowali! Smakowali radość z porwania! Około północy w drzwiach pojawił się odziany na szaro starzec z jednym okiem przesłoniętym rondem kapelusza. Obrzucił wzrokiem podpitych weselników, wyszarpnął zza pasa najpiękniejszy i najjaśniejszy połyskujący miecz, jaki kiedykolwiek widziałam, przecisnął się między hałasującymi pijakami, podszedł do jesionu i wbił w niego ostrze aż po rękojeść. Biesiadnicy umilkli, a starzec jął wpatrywać się we mnie z gwiazdnym błyskiem w swym jedynym oku i wiedziałam już, że ten cudowny miecz i moje należące doń serce są pisane bohaterowi, który wyzwoli mnie ze szponów Hundinga.

Wehwałt zrywa się na równe nogi i podbiega do jesionu, by zobaczyć rękojęść wystającą z rany w gruzłowatej korze.

– Potrzebuję broni do pojedynku, na który wyzwiał mnie Hunding, więc doprawdy chciałbym okazać się bohaterem, o którym mówisz.

Zyglinda podbiega do Wehwałta i przywiera do jego ramienia.

– Wszyscy goście weselni usiłowali wyciągnąć z drzewa ten miecz, ale żaden nie zdołał go nawet poruszyć. Potem każdy mąż, który tu zawitał, próbował swych sił, a i Hunding wiele razy plecy swe nadwerężył. Ale moiżry szeptały mi do ucha, że synowi Wolfego może się powieść.

Wehwałt wykrzykuje:

– Tylko wśród tchórzy zwano mego ojca Wolfe! Jego prawdziwym imieniem było Wälse!

Zyglinda mówi:

– Jeśli Wälse był twoim ojcem, to ty musisz być Wälsung, i w takim przypadku twój ojciec wbił miecz dla ciebie. Nie można zatem nazywać cię Smętnym. Nadaję ci imię, które odbiciem jest mej miłości: Zygmunta, Zwycięski! Niech znają cię jako Zygmunta!

Zygmunta chwyta rękojęść miecza.

– Niech tak będzie! Jam jest Zygmunta, Zwycięski, a to miecz mego ojca. Musi więc z drzewa trafić do mej dłoni, a gdy tak się stanie, jego imię brzmieć będzie Notung! Notung, pomocny w niebezpieczeństwie, wybawiciel ukochanej Zyglindy i mój.

Gwałtownym szarpnięciem wyciąga miecz z jesionu i unosi go nad głowę. Zyglinda otacza męzczyznę ramieniem.

– Zygmunta, mój utracony bracie, mój kochanku, skarbie mego życia!

Zygmunta opuszcza Notunga i obejmuje siostrę.

– Zyglinde, moja utracona siostrze, moja ukochana, moja oblubienice, światło moich dni!

Urodziny wielkiego kompozytora, Ferenc Liszta, Zurych, 22 października 1856.

W programie przedpołudniowej uroczystości zorganizowanej przez Richarda Wagnera zaplanowano wykonanie fragmentów *Walkirii*, śpiewanych przez panią Heim i samego Wagnera przy akompaniamencie Liszta, a także poematów symfonicznych Liszta, granych na dwóch fortepianach, i ponadto głośne czytanie dopiero co ukończonych przez Wagnera tekstów *Tristana i Izoldy* oraz *Zwycięzców*. Obecni: poeta Georg Herwegh, pani Emilie Heim, pisarka Mathilde Wesendonck, księżna Karolina von Sayn-Wittgenstein, jej córka Marie, siostra Wagnera Clara, muzyk Alexander Winterberg, kompozytor Theodor Kirchner, polityk Johann Jakob Sulzer i oczywiście bohater dnia, kompozytor Ferenc Liszt.

Po tych artystycznych uniesieniach towarzystwo musi posilić się i odpocząć, więc w radosnych nastrojach przenosi się do stołu, na który podano wszelkiego rodzaju specjały, z winem i likierami włącznie. W ożywionej dyskusji tematy nieustannie się zmieniają, a ponieważ na miejscu jest tak wielu artystów, przyjaciół sztuki i również znany polityk, doprowadza to nieuchronnie do szermierki słownej w stylu *phrases d'armes*, czyli jedni pytają, inni odpowiadają, odpowiedzi są

przedmiotem ataków, tak jak i same pytania, i ostatecznie wymiana zdań toczy się przyjemnie i hałaśliwie.

Z Weimaru przychodzi telegram – wiersz Hoffmanna von Fallerslebena, który Georg Herwegh odczytuje, akcentując patetycznie. I kiedy w ten sposób znaleziono się już w kręgu poezji, dochodzi do niewielkiej debaty o Heinrichu Heinem, do którego wierszy wiele swych najważniejszych pieśni skomponował Robert Schumann i którego Theodor Kirchner, znany jako zagorzały wielbiciel Schumanna, chce z tego powodu bronić, a którego Liszt ze swojej strony krytykuje, na co Mathilde Wesendonck pyta, czy Heinrich zdaniem Liszta nie zasłużył jednak na to, by jego „literacki pseudonim wypisano w świątyni nieśmiertelności”, co Liszt kwituje krótkim: „Tak, ale błotem”.

Kiedy towarzystwo posiliło się i narozmawiało do woli, przenosi się z powrotem do sali muzycznej. Liszt zasiada do fortepianu, rozkłada przed sobą partyturę pełną notatek, a Wagner prosi o pozwolenie wykonania przed „najlepszą możliwą publicznością” swego najnowszego dzieła, *Zygfryda*, nad którego nieukończeniem ubolewa.

– W innej sytuacji nie prezentowałbym tak niegotowej kompozycji, ale *Tristan i Izolda* w dającej się przewidzieć przyszłości zabierze mi z pewnością cały czas, więc *Zygfryd* będzie musiał poczekać na dokończenie.

Wagner i Emilie Heim stają za pulpitemi nutowymi, a spod czarodziejskich palców Ferenc Liszta uwalniają się dźwięki uwertury.

W przerwie zebrani siadają ponownie do stołu.

Wagner zdradza, że pisze *Pierścień Nibelunga* od końca do początku, pomimo że zabierając się za komponowanie, miał już gotowy pomysł na budowę całego dzieła. I chociaż wielu zna tę opowieść, niektórzy z obecnych chcą wiedzieć więcej.